

FARUK ŠEHIĆ
NIEŚMIERTELNIK
03-1043

Przekład Aleksandra Wojtaszek

Tytuł oryginału: *Pod pritiskom*

Wydanie polskie na podstawie: Naklada Zoro, Sarajevo–Zagreb 2004

Wydawca

Bożena Kućmierowska

Redakcja językowa

Grażyna Raj

Korekty

Bożena Kućmierowska i Grażyna Raj

Redakcja techniczna

Danuta Przymanowska-Boniuk

Projekt okładki, stron tytułowych i opracowanie typograficzne

Janusz Fajto

Projekt zrealizowany przy wsparciu finansowym Nagrody Krakowa Miasta Literatury UNESCO, realizowanej przez Krakowskie Biuro Festiwalowe ze środków Gminy Miejskiej Kraków

Copyright © Faruk Šehić

Copyright for the Polish translation by Aleksandra Wojtaszek

Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Akademickie SEDNO

Warszawa 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone

Kopiowanie, przedrukowywanie i rozpowszechnianie w całości lub we fragmentach jakiegokolwiek techniką bez pisemnej zgody wydawcy zabronione

ISBN 978-83-7963-106-3

ISBN 978-83-7963-107-0 (e-book)

Wydawnictwo Akademickie SEDNO Spółka z o.o.

00-696 Warszawa

ul. J. Pankiewicza 3

www.wydawnictwosedno.pl

info@wydawnictwosedno.pl

Na początku był raj, z którego zostaliśmy wygnani.

Patrzyliśmy, jak nad wzgórzami dającymi początek rzece Unie zbierają się chmury. Przedtem jasne obłoki teraz kolorem zaczęły przypominać brudny śnieg. Powietrze wydawało się naelektryzowane, jak zawsze przed letnią ulewą. Nie lubiliśmy deszczu, bo zapowiadał koniec pływania, a następnego dnia tylko piekielny upał zmuszał nas do ponownego wejścia do wody. Kąpanie było najważniejszym letnim rytuałem w naszym mieście. Przez cały rok żyło się tylko po to – kalendarz istniał z powodu lata i wody. Miasto pachniało rzeką, roślinami wodnymi i rybami. W powietrzu fruwały kaczki pióra, a na brzegach rozsypane były ości. Grille dymiły, skrzynki piwa chłodziły się w wodzie. Na drugim brzegu rzeki, na dachu niedokończonego budynku, wiatr łopotał trójkolorową flagą z pięcioramienną czerwoną gwiazdą. Pod nią wisiały ręczniki – amulety przynoszące szczęście i błogosławieństwo domowi i jego mieszkańcom.

Kiedy na Kaczej Wyspie pojawił się kormoran, ktoś wziął kamień i próbował go przepędzić. Pióra ptaka były czarne i tłuste. Nurkował i wynurzał się, raz po raz przelękając rybę. Potem prąd rzeki zaniósł go daleko pod Drewniany Most, skąd pływacy przeganiali go wrzaskami.

Skakałem do wody aż do utraty przytomności. Wychodziłem na wybetonowany dla łatwiejszego poruszania się brzeg, wspinałem się na platformę i z całej siły wybijałem w górę, wyginałem w kierunku wody, prostowałem i nurkowałem najgłębiej jak mogłem, do dna, niebieskiego i mrocznego. Na dole panował spokój, przyjemne dla ciała cisza i chłód. Ryby rozpięchały się na wszystkie strony. Zanurkowałem w ławicę lipieni i kleni.

Wszyscy skaczą, chcą nacieszyć się tym dniem. Niektórzy nie wychodzą wcale z wody, tylko taplają się jak fok, pozwalając, by prąd niósł ich aż do wodospadu. Tam są porywani przez nurt i w lot przerzucani pod Drewniany Most, prawie sto metrów od naszego kąpieliska.

Chmury są teraz czarne i złowrogie, a powietrze naelektryzowane do granic. Zaczynają padać duże, ciężkie krople. Kąpiel się kończy, większość ucieka z wody, nieliczni pływacy pozostają w rzece. Deszcz przybiera na sile, krople stają się coraz większe i zimniejsze. Smukłe drzewa tańczą na wietrze. Pod naporem nawałnicy gną się konary wielkich platanów,

przypominają teraz odwrócone parasole. Biblijne pioruny i grzmoty rozdzierają niebo. Trzeba znaleźć jakieś schronienie, poczekać, aż przejdzie, potem pójść do domu. Przez ścianę deszczu nie widać powierzchni rzeki. Wydaje się, że nigdy nie przestanie padać.

HIERARCHIA RZECZY



Pod presją

1.

Dotarliśmy na pozycje. Wszędzie błoto i mgła, ledwo widać, kto przed tobą idzie.

Prawie łapaliśmy się za pasy, żeby nie stracić kompanów. Kolumna wlokła się wzdłuż rozchwianych płotów, obok podpalonych domów. Błoto lepiło się do butów i rozciągało jak ciasto.

Najpiękniejsze są fronty, na których jesteś po raz pierwszy – wszystko jest nowe, nietypowe i w chuj ekscytyjące. Szczególnie, kiedy przejmujesz stanowisko w nocy, a następnego dnia o brzasku orientujesz się, że jesteś odsłonięty, jakbyś siedział na czubku gwoźdźcia.

Zwęglone belki spadały z dachu i skwierczały na rozmokłej ziemi. Maszerowaliśmy w górę zbocza, trawa była śliska od opadającej mgły. Raz po raz ktoś się przewracał, zatrzymując kolumnę, a potem wyklinał prezydenta i państwo. Na samą myśl o spędzeniu nocy na glebie bolały mnie hemoroidy. Przewodnik z żandarmerii zaprowadził nas na wierzchołek pagórka. Emir i ja zajęliśmy płytki okop, w którym znajdował się uwalany błotem sprężynowy materac, kołdra i parę petów dopalonych do ostatniego bucha, po czym nerwowo wbitych w ziemię.

– Hej, chłopaki, jak tam, zimno? – dotarł do nas głos z prawej strony.

– Przyjdź, to ci powiem – odpowiedział Emir, leżąc na materacu.

Od tyłu podszedł do nas kontur. Wskoczył do okopu.

– Z Trzeciego Batalionu – powiedział, kiedy podaliśmy sobie ręce. – Macie może szluga?

Otworzyłem papierośnicę pełną galesów¹.

– Nie zobaczą nas, jak będziemy jarać? – zapytał Emir.

– Nie, są daleko, a mgła jest gęsta.

Emir i ja na komendę zapaliliśmy papierosy.

– Ale powiedz, jak sytuacja – zapytałem. – Bardzo przejebane?

– Dzisiaj zryli tę górkę pociskami moździerzowymi. Jednemu z drugiej kompanii odłamek odciął policzek. Na Metli, a to wzniesienie dwa razy większe niż nasze, mają kilka ZiS-ów². Widzą nas jak na dłoni – powoli opowiadał ten z trzeciego.

– Znaczy, kto przeżyje, wygrał na loterii – dorzucił Emir.

– Nie jest tak źle, jak wygląda – pocieszał go tamten. – Na coś umrzeć i tak trzeba.

Strach wpelzał we mnie jak wilgoć. Nazajutrz czekało nas darmowe golenie pociskami.

1 Kolumbijskie papierosy produkowane od 1974 roku (przyp. aut.).

2 ZiS – tu na oznaczenie armatohaubicy 76,2 mm ZiS-3, z czasów II wojny światowej, dość powszechnie używanej w czasie wojny w Jugosławii (przyp. tłum.).

Linia życia przerywa ci się w dwóch miejscach. Będziesz dwukrotnie ranny, z czego raz ciężko, powiedziała mi kiedyś pewna Cyganka. Dževada rzucała fasolę, patrzyła na ziarna i konstatowała: przed tobą podróż za granicę i dobre informacje z daleka. Wszystkim tak mówiła, bo byliśmy otoczeni ze wszystkich stron, pragnęliśmy uciec z oblężenia, czyli wyjechać za granicę. A dobre informacje z daleka to najczęściej dziewczyna, która uciekła w bezpieczne miejsce albo krewni z Niemiec posyłający hajs.

Ułożyłem hierarchię rzeczy:

wojna

alkohol

poezja

miłość

znowu wojna

Ulubiona piosenka: „Chodź do łóżka, cudna sprawa, sława łóżkom, sława, sława!”

Najgłupszy cytat: „Miła wojna dla tych, co jej nie znają”³, Erazm z Rotterdamu.

Ulubiony kolor: Niebieski, wszystkie odcienie.

Ulubiona książka: *Plexus* Henry’ego Millera.

Ulubiony napój: Śliwowica domowej roboty.

3 Erazm z Rotterdamu, *Rozmowy. Wybór*, tłum. M. Cytowska, Warszawa 1969 (przyp. tłum.).

Ulubiony rodzaj broni: Węgierski kałasznikow, numer SV-3059.

Ulubione jedzenie: Litr rakii i paczka papierosów.

Ulubiony cytat: „Stać się nieśmiertelnym i umrzeć”, Jean-Pierre Melville.

Niespełnione marzenie: Blizna na twarzy od pocisku, żeby wszyscy patrzyli na mnie jak na twardziela, kiedy wchodzę do knajpy.

A potem zasnąłem przykryty ubłoconą kołdrą.

2.

– Zakład o pięć marek, czy Stalowy przebiegnie pole.

– Liczy się, jeśli dobiegnie ranny, czy musi być w jednym kawałku?

– Jakkolwiek, byle dotarł do białego domku.

Stalowy, nazywany tak z powodu heavymetalowej skórzanej bransoletki z niklowanymi kolcami, leżał za dziurawym betonowym ogrodzeniem. Głowę pokrył rękoma, drobny betonowy pył sypał mu się we włosy. Był dokładnie w połowie drogi do schronu. Pociski Zastavy M84 waliły w betonowe słupy ogrodzenia, przechodziły przez dziury, wdzierały się w ziemię. Stalowy, w skrócie Stalo, wstał, próbując się rozpędzić, ale salwa przewróciła go na ziemię. Miłośnicy hazardu siedzieli pod pigwą w bezpiecznym schronieniu wielopiętrowego domu.

– Stalo, żyjesz?

- Gównu żyje, widzisz, że się nie rusza ani nie jęczy.
- Sam sobie winien, nikt go nie zmuszał do biegania w dzień, mógł poczekać do nocy – wtrącił trzeci obserwujący.

Stalowy znów wstał, z całych sił poruszał swoimi zwalistymi nogami jakby biegł w miejscu, aż wreszcie oderwał się z pozycji startowej. Jego fryzura na czeskiego hokeistę powiewała w biegu. Osiemdziesiątka czwórka robiła swoją robotę. Stalowy dobiegł do mety jak Ben Johnson.

- Dawaj pięć marek.
- Takiego wała!
- Ej, przecież przebiegł.
- Przebiegł.
- Było uczciwie?
- No dobra, było.
- Zajebiście uroczą niespodzianka.
- Aż łza się w oku kręci.

Stalowy, oparty plecami o chłodną ścianę domu, wyciągnął połamane papierosy z kieszeni. Drżącymi palcami zapalił połowę szluga. Poprawił włosy, wyczyścił mundur z pyłu i ziemi. Krew dopłynęła mu znów do twarzy. Noc przebiła dzień, jak as króla.

3.

Zgembą paznokciem zdrapywał ludzki mózg z pity, potem odłamywał kawałki ciasta, zanurzał w soli i wkładał sobie do ust. Z białej reklamówki nakrapianej

krwią i kawałkami tkanek podjadał biały ser. Twarz miał brudną od prochu, na kolanach trzymał karabin maszynowy kaliber 7,62 mm. Pięć minut temu w tym okopie siedzieli autonomiści⁴. Przez zasieki przewieszony był wciąż ciepły trup, któremu salwa rozplątała czaszkę. Obróciłem go na plecy i wyjąłem portfel z wewnętrznej kieszeni jego maskującej wiatrówki. Spojrzałem na zdjęcie paszportowego formatu. Miał wysokie czoło, spore baczki i duże melancholijne oczy. Ostрым brzegiem zdjęcia wyjąłem sobie kawałki jabłka spomiędzy zębów.

W środku akcji Deba zapalił ognisko za rogiem domu, żeby wysuszyć skarpetki. Po drugiej stronie domu oparł swój automat o ścianę. Autonomiści pierdolnęli kontratak. Złapali Debę bez broni, zawiązali mu drutem ręce na plecach i zastrzelili go za stajnią.

Wieczorem tego samego dnia, po tym jak ściągnęli nas z linii, poszliśmy do knajpy. Piliśmy na rachunek Piątego Korpusu, czyli za frajer. Waliliśmy rakiję na szklanki, a Zgemba do flaszki wrzucał niebieskie valium. Szef przyniósł żarcie: suszone mięso i twardy

4 Uzbrowieni naśladowcy Fikreta Abdicia, lokalnego zdrajcy, który walczył przeciwko Armii BiH (przyp. aut.). Żołnierze Autonomicznej Prowincji Bośni Zachodniej (później Republiki Bośni Zachodniej), parapaństwa istniejącego na terytorium Bośni i Hercegowiny w latach 1993–1995 (przyp. tłum.).

ser, na koszt knajpy. Miał dobrotliwą twarz, wydawał się być doświadczonym oberżystą. Kelnerka, Rumunka, z której ust wyzierały rozstrzelone jak w grabiach zęby, poskarżyła się właścicielowi, że pijemy za darmo. On ją uspokajał. Mówiła, że chodziła z jakimś typem z naszej brygady, nazywali go Piekarz. Po kilku butelkach zaczęliśmy robić rozpierdol w knajpie. Strzelaliśmy nad barem, w lustro i w półki z alkoholem. Strzelanina zagłuszała przaśny kawałek, który plumkał z głośników. Próbowałem trafić w plastikową łapkę na muchy zaczepioną o gwóźdź na boazerii. W ogródku porozwalaliśmy plastikowe stoły i krzesła. Przyłożyliśmy też kolbami kilku miejscowym, którym nie podobało się nasze zachowanie. Rozbroiliśmy trzech policjantów i ustawiliśmy ich rzędem przed salonem fryzjerskim. Kiedy właściciel knajpy wiozł nas ładą do szkoły, w której stacjonowaliśmy, zaczęła się ulewa. Wycieraczki ślizgały się po szybie jak wskazówki na ciśnieniomierzu. Tego wieczoru już nic więcej się nie wydarzyło.

Wyimki z dziennika haiku

Schlałem się i zasnąłem na straganie przed warzywniakiem Truskawka, naprzeciwko austro-węgierskiego budynku, w którym tymczasowo mieszkalem.

Byłem w hawajskich szortach i podkoszulce z krótkim rękawem.

Tuż przed świtem.

Matka zobaczyła mnie przez okno w kiblu.

Zaprowadzili mnie z ojcem do mieszkania, trzymając pod rękę.

Umyli w wannie.

Czułem się jak obce ciało wewnątrz większego obcego ciała.

Przypominałem zmęczonego robota.

Trzęsły mi się ręce, gdy piłem kawę.

Naprzeciwko budynku.

W pizzerii Amfora.

Było normalne, że trzęsą mi się ręce.

Zwyczajne alkoholowe drżenie.

Kawa spływała mi po gardle.

Spierając smród piwa i koniaku z wczoraj.

Mijał dopiero szósty dzień wojny.

Pierwszy raz w życiu byłem uchodźcą.